ROZMAITOŚCI.

We Wtorek Nro. 121. 22. Października 1822.

Blondyn z Namiur.

(*Ciąg dalszy.*)

Pomoc.

Chęć do nauki wzrastała codziennie; a lubo iuż i poranki były zimne, ieden uścisk rozcieplał całe powietrze. Oboie nauczyli się ięzyków bez gramatyki, bo mieli bardzo wiele do mówienia z sobą, i nawet gdy niemogli być w iaśminowéy altance, rozmawiali iednak za pomocą umówionych znaków, przez okna.

Wprawdzie aż dotąd, Blondyn kochał się tylko w córce modniarki, Joasia w synu urzędnika; ale też, dowiedziawszy się o swoiéy omyłce, gorzko ią okupili łzami. Kochali się tém szczérzéy, tém tkliwiey, im dalszą była nadzieia wiecznego połączenia.

»O! gdybym był tylko bogaty! mówił Blondyn z westchnieniem.« »O czemuż nie iestem ubogą« z westchnieniem powtarzała Joasia.

Na domiar nieszczęścia nadeszła zima. Taiemnicza altanka stała się przezroczystą, śnieg zaprószył wszelkie przeyścia, a każdy krok zostawiał ślad po sobie i zdradzał kochanków. Widywali się rzadko, w oknie, lub w kościele, albo w teatrze. Miłość tysiączne ma wybiegi, i tysiączne sposoby wynaydować umie.

Mimo tych wszystkich sposobów, żaden do pożądanego celu nie prowadził. Blondyn wolałby mieć coś więcéy niż tęskniącego Adonisa. Oboie zaprzysięgli sobie wprawdzie wieczną wierność, ale oboie powątpiewali, czy potrafią dotrzymać swoiéy przysięgi.

W smutnych myślach nad losem swoim, zatopiony siedział pewnego dnia Blondyn w iednym z nayznakomitszych sklepów winnych w całym Namiur. Już mu i wino nieznośne było. Nieszczęśliwy! od tygodnia nie rozmawiał z Joasią. Tymczasem Joasia od nayznakomitszych domów w mieście proszoną była na bale i obiady, a co gorsza, tego dnia razem ze swemi rodzicami zaproszoną została na wieczerzą i tańce do tegoż samego urzędnika, w którego domu stał Blondyn. Dla tego — nigdy bowiem dawniéy nie chodził do handlu winnego — dla tego dziś z rospaczy wcześnie w wieczór zamknął swóy sklep, i wyszedł z domu, ażeby nie słuchał iak mu Joasia tańczy nad głową. Ah! był bardzo nieszczęśliwym.

Koło niego, siedział iakiś Pan iuż podeszły w starym surducie, posępny i milczący. Pił szklankę wina iedną po drugiéy, i rzekł nakoniec: »Wszakże WPan iesteś młodym le Blond.«

Blondyn spoyrzał na niego, a po szérokiéy bliźnie na czole przypomniał sobie, że iuż tego cudzoziemca od dwóch dni kilka razy widział. Raz w swoim sklepie, w którym kupował piękną i bardzo bogatą materyią iedwabną, kilka razy na ulicy przechadzaiącego się często przed iego domem, raz w kościele, i znowu tu. Miał coś nieprzyiemnego w chudéy i pożółkłéy twarzy, i iskrzące się oczy. Blondyn odpowiedział na iego zapytanie.

)(

»WPan coś dziś nie iesteś w dobrym humorze.« Mówił daléy nieznaiomy.

»Być to może. Nie można być zawsze wesołym.« —

»Piy ze mną.«

»Wino nie każdego rozwesela.«

»Bardzo mi to przykro. Mógłżebym ci w czém pomoc?«

»Niewiem.«

»Podobasz mi się młodzieńcze. Czuię pociąg ku tobie. Radbym ci usłużyć. Nie znasz mię; ale bądź tylko moim przyiacielem, miéy ufnosć we mnie, a pewnie ci pomogę.«

»Dziękuię WPanu za łaskawą ofiarę.

»Może cię kto obraził?«

»Nikt.«

»Może się kochasz, a nie iesteś kochany?«

»I to nie.«

»Może ci potrzeba pieniędzy? i w tém ci pomogę.«

Blondyn spoyrzał wielkiemi oczyma na nieproszonego opiekuna.

»Powiédz, ileż ci potrzeba? kilka tysięcy liwrów, czy więcéy? Jesteś dzieckiem szczęścia, i gdybyś tylko chciał, mógłbyś być naybogatszym z całego miasta.«

»Jak to?«

»Tak iest, gdybyś tylko chciał.«

«I któżby nie chciał być bogatym?«

»Dobrze. Ależ tu — gdzie naszéy rozmowy każdy słucha, o takich rzeczach mówić nie można. Jestem obcy w tym kraiu. Gdybyś mi chciał towarzyszyć do mego hotelu, i wieczerzać razem ze mną?«

Blondyn z nieufnością spoyrzał na cudzoziemca, a przecież na ten fatalny wieczór, gdy Joasia może do poźnéy nocy tańczyć mu będzie nad głowami, choćby tylko dla zabawienia się i zabicia czasu, ten osobliwszy przypadek nie źle mu wypadł: »Dobrze, póydę z WPanem« rzekł, i poszedł za nieznaiomym.

S k a r b.

Cudzoziemiec zaymował w hotelu kilka wspaniałych pokoiów. Na iego skinienie, w mgnieniu oka pobiegło dwóch bogato ubranych służących zamówić wieczerzę. Blondyn nie mało był zdziwiony tém co widział, bo miarkował po wszystkiém, że cudzoziemiec w szaraczkowym surducie był niezmiernym bogaczem, i mógł do towarzystwa swego przybrać iaką znakomitszą osobę, niż tak ubogiego, iak ón kupca.

»Z kim mam honor rozmawiać —« spytał się Blondyn nieco pomieszany.

»Nazyway mię po prostu Abubekir« odpowiedział człowiek stary, »pochodzę z familii Chaldeyskiéy.«

»O móy Boże! WPan byłbyś Chaldeyczykiem! Dla czego z tak daleka, bo aż z Azyi przybyłeś w te okolice?«

»Częścią z nudów, częścią z chęci nauczenia się czegoś więcéy. Jak tylko nadeydzie wiosna, radbym popłynąć do Irlandyi.«

»Do Irlandyi! I dawnoż WPan wyiechałeś z Azyi?«

Chaldeyczyk po chwili namysłu, rzekł z zimną krwią: »Za dwa tygodnie będzie sto dwadzieścia i dwa lat.«

Blondyn rozumiał że się przesłyszał, ale Chaldeyczyk powtórzył mu znowu: »sto dwadzieścia i dwa lat.«

»Ależ móy Boże! Wieleż WPan liczysz?«

»Trzysta dwanaście z okładem.«

»Trzysta!... zawołał zadziwiony Blondyn.«

»Tak, trzysta dwanaście,« dodał Chaldeyczyk spokoynie. »Widzę, że cię to zadziwia; może myślisz, że sobie z tobą żarty stroię. Jeśli bliżéy poznasz się zemną, zobaczysz osobliwsze rzeczy. Z resztą myśl sobie, co chcesz, ale na całe życie przyymiéy odemnie tę radę: Nie sądź ludzi z ich słów, ale z czynów.«

Ta mowa wydawała się bardzo dziwną Blondyowi; pomyślał więc sobie w duchu: »Staruszek chce sobie pożartować zemną; zobaczemy kto będzie się śmiał przy końcu.«

Służący dali znać, że iuż iest na stole. Poszli więc oba do pokoiu iadal-

nego, rzęsiście oświéconego iarzącém światłem, i wonieiącego od różnych azyiatyckich kadzideł. Stół był tylko nakryty na dwie osoby. Siedli; roznoszono naylepsze wina i potrawy; służący odeszli z pokoiu.

»Teraz kochany przyiacielu!« odezwał się Abubekir, »używaymy, co nam szczęście daie. Porzuć wszelkie troski i kłopoty, niech cię iuż dłużéy nie dręczą. Mów do mnie tak szczerze i otwarcie, iak ia mówię z tobą.«

Blondyn używał szczęścia, zaiadał smacznie wytworne potrawy, a przy koncu wieczerzy starego wina siła rozgrzewaiąca, mocno go rozweseliła. Ale zamiast otwartości, wzrastała w nim sprawiedliwa nieufność względem cudzoziemca. Radby był dowiedzieć się czegoś więcéy o osobliwszym Chaldeyczyku, lubo mu tenże przez cały ciąg wieczerzy opowiadał osobliwsze i do prawdy niepodobne szczegóły, o swoich przypadkach na morzu i na lądzie.

»Wysłuchałem cię z naywiększą cierpliwością« rzekł nakoniec Blondyn, »ale opowiadasz mi istotne baieczki. Czyliż mogłeś myśleć, ażeby rozsądny człowiek mógł im uwierzyć?«

»Wcale mię to nie obchodzi, czy mi dasz wiarę, czy nie. Musisz iednak uważać, że z wielu taiemnicami iestem obeznany. Czy słyszałeś co o Nekromancyi?«

»Słyszałem, alem zawsze nie wiele o niéy trzymał; cała rzecz zasadza się na oszukaństwie, kuglarstwie i filuteryi.«

»Nie wiem, może tak iest w Europie, ale u nas w Chaldei rzecz się ma zupełnie inaczéy.«

»Pokaż iaką sztukę.«

»Ja sztuk nie pokazuię. Ale słuchay młodzieńcze, twarz twoia bardzo mi się podobała. Przysięgam ci, iesteś urodzony pod szczęśliwą gwiazdą. Mów otwarcie ze mną. Mogęż ci w czém dopomódz. Moia pomoc więcéy dla ciebie znaczyć będzie, niż wszystkie kuglarstwa na świecie. Będąc kupcem, iesteś może potrzebnym pieniędzy?«

»Blondyn uśmiechnął się z nieufnością i rzekł: »Być może.«

»Dobrze!« — zawołał Chaldeyczyk. Czemużeś mi tego od razu nie powiedział. Jesteś przeznaczony do odkopania skarbu w ruinach miasta Valerien des Anges.«

»Skarbu?«

»Tak, a nawet znacznego skarbu.«

»Czemuż go sam nie odkopiesz?«

»Ponieważ nie iest przeznaczony dla mnie, i ponieważ go nie potrzebuię.«

»Kiedyż mogę znaleść ten skarb?«

»Jak tylko zechcesz odbyć podróż do Valerien des Anges.«

»Potrzebaż na to iakich przygotowań?«

»Żadnych.«

Poważna postać Chaldeyczyka zwodziła Blondyna, a iednak rozumiał, że ón chce się tylko zabawić iego kosztem. Namyślał się przez chwilę, i rzekł: »Panie Abubekir! Odebrawszy iuż tyle dowodów twoiéy troskliwey przyiaźni, powinienem powiedzieć ci prawdę: Muszę iutro na własnoręczny wexel zapłacić okazicielowi pięć tysięcy liwrów. Ponieważ skarb o którym ty mówisz, iest tak niewątpliwie dla mnie przeznaczony, niemógłżebyś a conto dać teraz choć tymczasowo te pięć tysięcy liwrów, o które tyle mi chodzi.«

To mówiąc Blondyn, badaiącemi oczyma spoyrzał na Chaldeyczyka, spodziewaiąc się, iż w iego rysach dostrzeże iakiego pomieszania. Ale Abubekir zachowuiąc zawsze tęż samę zimną krew, rzekł: »Z całego serca. Będziesz ie miał.« Poczém zwróciła się mowa do Nekromancyi, i do przypadków nieznaiomego.

Nakoniec blisko o północy, wstał le Blond i chciał się pożegnać z Chaldeyczykiem. Przez delikatność nie wspominał mu o owych pięciu tysięcach liwrów, i cieszył sie, że w iego miłém towarzystwie tak przyiemnie spędził wieczó. Prócz tego, całą historyią o wexlu którego zapłata w dniu następnym uisz-

czoną być miała, zmyślił iedynie dla tego, aby sławnego Nekromanta wystawić na doświadczenie. Lecz gdy Blondyn już odchodził, Abubekir prosił go, ażeby się na chwilę zatrzymał, odszedł do drugiego pokoiu, przyniósł pięć worków i złożył ie na stole; rozkazuiąc służącemu, aby Pana le Blond odprowadził do domu, i ażeby za nim zaniósł pieniądze. Blondyn nie wiedział co czynić. Podziękował bardzo grzecznie, i odszedł. Służący Chaldeyczyka odprowadził go do domu, gdzie już na niego właśnie ludzie oczekiwali. Tym oddał służący Abubekira pieniądze, i zniknął.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Z Odessy. (*Ciąg dalszy.*) — Z tamtéy strony Grigyriopolu, iedzie się przez długi czas brzegiem Dniestru, który płynął teraz dosyć wąsko i powolnie, lecz na wiosnę, to się z całą mocą rozlewa.

Przed południem ieszcze przybyliśmy do Tyraspolu. Jestto miasto obwodowe nad Dniestrem z obronnym zamkiem. Zamieszkałe iest przez Rossyian i Multańczyków, ma piękne domy i szerokie ulice. Z wałów twierdzy widać w odległości o pół mili dosyć wyraźnie mury i wały Benderu, które Karol XII. tak wsławił. Chętnie byłbym ie zwiedził, ale poczęści zamiar podróży prowadził mnie innym kierunkiem, poczęści wstrzymywały mnie od tego zakłady kwarantanny w Benderze. Tą razą poprzestałem na przechadzce koło Dniestru, uważaiąc drugą stronę będącą niadawno w posiadłości tureckiéy. I tu także cygan naprawiał nam powóz zepsuty.

Przed samym wieczorem opuściliśmy Tiraspol. Móy towarzysz podróży wyboczył od powszechnéy drogi iadąc do włości, którą w téy okolicy posiadał. Ja, któremu było wszystko iedno, iakikolkolwiek wezmę kierunek w tych stepach, poiechałem za nim. Ponieważ opuściliśmy teraz właściwą drogę pocztową, była ona ieszcze samotnieyszą, a między Tiraspolem i wsią bulgarską Karardschi, w przeciągu 7 lub 8 mil, było tylko iedno zabudowane mieysce.

Jechaliśmy więc przez noc całą oświeconą promieniami xiężyca, a nazaiutrz byliśmy iuż w wyżwspomnionéy bulgarskiéy wiosce kolonistów Katardschi, gdzie musieliśmy oddać tiraspolskie pocztowe konie, a naiąć sobie inne do dalszéy podróży. Nim te ostatnie przypędzono z łąki, miałem dosyć czasu oglądywania wewnątrz niektóre domy bulgarskie, a między temi téy wsi naystarszego był nayczystszy. Naprzód wchodzi się do małéy sieni, w któréy na tyle iest ognisko, a potém do saméy izby mieszkalnéy. Na około ścian przybita iest szeroka ławka, okryta dywanami, w tylnéy ścianie iest ta ławka nayszérsza, na iéy dywanie leży drugi zwinięty dywan, i sięga aż do powały. Na temto zasadza się naywytwornieyszy przepych Bulgarczyków.

Bulgarczykowie przybyli w te mieysca z tureckich osiadłości. Mówią dyalektem słowiańskim, i grecki wyznaią obrządek. W obyczaiach i ubiorach zaś mocno się zorientalizowali pod panowaniem tureckiém. Z płcią niewieścią ostro sobie postępuią. Bulgarka chcąca iść drogą, gdy z tyłu za sobą zobaczy mężczyznę, z uszanowania zastanawia się, i za nim dopiéro idzie. — Koloniia Katardzycka dosyć iest znaczna. Tu znayduie sie sekcyia wyższéy kurateli dla obcych, którzy osiadaią w południowey Rossyi, a we wsi téy mieszkaią Ormianie i Rossyianie. Byliśmy u Ormianina handlarza winami, zaprowadził nas do swoiéy głębokiéy, orientalnéy piwnicy, i dosyć tanio uczęstował nas greckiém i wołoskiem winem. Przeciwnie Rossyianin zatrudniał się naszém iedzeniem. Widziemy, że i u Bulgarczyków zginąć nie można.

Gdy konie przybyły, zaprowadził nas ieden usłużny Bulgarczyk do wsi Nikołajeffke, o dwie mile oddalonéy, w któréy bliskości była maiętność moiego towarzysza podróży. Południowa, nieznaczna rzeka Kujalnik przerzyna tę obfitą i przyiemną dolinę, przez którą ciągnie się kupiecka droga z Bałty do Odessy, i tę okolicę dosyć ożywia. Tu zabawiłem się dni parę, i opiszę tak dobrze, iak będzie można życie w stepach i siedziby ludzkiego towarzystwa w puszczach tatarskich.

A naprzód: powiem słów parę o tém, co się rozumi przez stepy. Stepami nazywaią się okolice z drzew ogołocone a obfite w trawę, nie trzeba sobie wystawiać przez nie nieżyznych obszarów kraiu, i owszem ziemia ta iest zdolna do wszystkiego. Brak drzew przypisuią mieszkańcy kraiu dwom przyczynom, popierwsze, zapaleniu stepów, które łatwym sposobem suchą niszczy trawę, podrugie nomadyyskiemu paszeniu się trzód, niszczących wszelkie zarody drzew. Stepa, iestto powszechne imie, którém oznacza się okolica z drzew ogołocona. Drzewa zasadzane przy budowach i od bydła strzeżone, udaią się wybornie. Także przy kopaniu ziemi często postrzegać się daią szerokie korzenie drzew, z czego wnosić można, że kray ten i wprzody lasy posiadał.

Osiadłości ciągną się szeregiem wzdłuż małych rzék kray ten przerzynaiących. Gęsty rząd podobnych mieszkań rozciąga się po obóch stronach rzéki Kujalnik. Właściciel, im iest bogatszy albo uboższy, tém większą lub mnieyszą liczbę włościan osadził naokoło siebie od swoiey woli zawisłych. Pomieszkania są robione z łupanego kamienia, którego dostarczaią w mnogości góry pobliskie, i podług zwyczaiu kraiowego są budowane więcey wygodnie niżeli pięknie. Wieśniacy zaś, szczególnie nowi przybysze, mieszkaią w tak zwanych chatach z ziemi.

(Dalszy ciąg nast.)

Redakcyia F. Krattera. — Drukiem J. Pillera.